

My, młodzi

Wbiegając na piętro, bez trudu przeskakuję po dwa stopnie, widząc komiczną sytuację, nie potrafię zapanować nad histerycznym śmiechem, lubię czerwony kolor, mam dziewiętnaście lat. Gwoli ścisłości – owa „dziewiętnastka” wskoczyła mi na grzbiet ponad trzydzieści lat temu, a moje kości niekiedy, zwłaszcza o poranku, miewają odmienne zdanie na temat mojej kategorii wiekowej. No i potrafię odręcznie napisać list, a wysyłając SMS-y i e-maile, dbam o „ą”, „ę”, „ó” itp., zaś moje wspomnienia sięgają lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia... Zatem nie zaprezentuję w tym artykule twórczości własnej.

Pamiętam, że niegdyś nastolatki, a także i nieco młodsze podlotki często obdarowywały się z okazji urodzin pamiętnikami – brulionami kilkadziesiąt lub nawet kilkuset gładkich kartek kredowego papieru ujętych w twardą okładkę, na których koleżanki i koledzy wpisywali mniej lub bardziej serdeczne życzenia „ku pamięci”. Ten mój, podarowany mi przez młodszego o rok kolegę, zachował się do dziś. Zaglądam do niego co kilka lat i wdycham, widząc, że kulfoniaste literki w miarę upływu czasu stają się coraz bledsze. Ale wciąż są, nie znikają tak szybko jak treść nawet najserdeczniejszego SMS-a. Treści e-maili też mają krótki żywot, a sztuka epistolarna po prostu umiera! (Aż strach pomyśleć, w jakiej kondycji byłoby dzisiejsze chrześcijaństwo, gdyby Koryntianie oraz święty Paweł dysponowali pecetami i komórkami...).

A co z pisaniem dzienników? Czy jest ktoś taki, oprócz pana Tomasza Florkowskiego, kto, chcąc utrwalić wrażenia mijającego dnia, nie rzuca myśli swoich na bloga, a prowadzi klasyczny dziennik? Drążąc ten temat, trafiam do uroczej kafejki, za kontuarem Emilka Grzelak, kategoria wiekowa – 20+. Emilka ma wykształcenie średnie, zrezygnowała z etatu w państwowej firmie i postanowiła zadebiutować jako prywatny przedsiębiorca. Wystrój jej lokalu współgra z jego nazwą – dominuje moja ulubiona czerwień. Emilka mówi, że zaczęła prowadzić dziennik w wieku około czterech lat. Z czasem, oprócz relacji z bieżącego dnia, zaczęła w nim zapisywać także swoje wiersze. Przez długie lata traktowała to tylko jako rodzaj psychoterapii, ostatnio rzuciła je na któryś z literackich portali internetowych, a dostawszy pozytywne opinie, odważyła się wystartować w lokalnym konkursie poetyckim i niecierpliwie oczekuje rozstrzygnięcia. Jest przejęta, pełna nadziei i niepewności. Piję owocową herbatę i przrzuć kartki brulionu ze szkicami jej wierszy, Emilka obiecuje, że wybrane prześle mi drogą elektroniczną. Rozmawiamy o potrzebie zapisywania swoich przemyśleń w formie poetyckiej, opowiadamy sobie o sytuacjach, które skłaniają nas do sięgania po pióro, wymieniamy ulubione tematy naszych wierszy. Emilka mówi mi też, że realizuje projekt własnego pomysłu – postanowiła, we współpracy z kolegą władającym kilkoma

językami, przetłumaczyć po jednym wierszu z każdego języka europejskiego i wydać je w formie zbioru. Sięga zarówno po utwory autorów współczesnych, jak i klasyków. Ów kolega lingwista tłumaczy jej każdy z wierszy dosłownie, a Emilka zamierza nadać im ramy poetyckie... Karkołomne? Tak. Czy zakończy się sukcesem – jeśli nie komercyjnym, to „przynajmniej” literackim? Nie wiem. Emilka też nie wie, ale w jej oczach, gdy o tym mówi, jest tyle zapału i nadziei, że jedyny gość kafejki – przystojny Turek, nierozumiejący ani słowa po polsku, wlepia w nią wzrok pełen niekłamane zachwyty. Ja też.

Emilka byłaby bardzo rada gościć miejscowych literatów w swoim lokalu. Marzy jej się, że ta urocza kafejka będzie miejscem kameralnych spotkań ludzi pióra, a ja w głębi duszy życzę jej tego z całego serca. Sącząc herbatę, zastanawiam się, czy Emilka pójdzie kiedyś drogą biznesu, czy stać ją będzie, aby zakosztować gorzkiego kawałka chleba zawodowego literata? Czy wystarczy jej na to talentu, samozaparcia i odrobiny... szczęścia?

Przyszłam do Emilki w nadziei spotkania także Jacka Wojnarowskiego – jej młodszego o kilka lat kolegi, który prawie codziennie jest gościem tego lokalu. Teraz jest na dziekanacie, pracuje, wieczorami dorabia jako DJ. Jest sobota, Jacek ma wyłączoną komórkę, a że robi się późno, raczej nie ma szansy, że pojawi się w kafejce, zatem Emilka pokazuje mi brulion z jego wierszami, które sam Jacek obiecał mi kiedyś przestać drogą e-mailową. Jest to wydruk komputerowy opatrzony datą 2008-2009, bez numeru ISBN. Jacek ma także za sobą odbyłą zasadniczą służbę wojskową, więc okrucy też i tego etapu w swoim życiu utrwalił w wierszach. Pod nazwiskiem autora widnieje dopisek: „mało powszechna poezja prosta – współczesna”.

Przerzucam kartki z wierszami, większość z nich pomyślana jest jako teksty piosenek. Jacek ma nadzieję, że ktoś to kiedyś zaśpiewa (zamysł jakże mi bliski...), nie brzydzi się rymem, choć przeważnie młodzi unikają go jako archaizmu, uciekając ochoczo w wiersz biały. Także i u Jacka

znajduję takowy, czyta mi się go o wiele „smaczniej” w przytulnej kawiarence niż na zimnym ekranie monitora. Jacek zaczął pisać, będąc licealistą, a jeden z jego wierszy zdobył wyróżnienie w szkolnym konkursie literackim. Jacek w krótkiej notce wysłanej kiedyś do mnie napisał żarliwie, że kocha Zieloną Górę, choć tu się nie urodził – pochodzi z Nowego Tomysła. A więc łączę mnie z tym młodym, smukłym blondasem miłoścą do naszej „Zielonki”! Zanim wylądowałam w Wilkanowie, przez ponad dwadzieścia lat z dumą obnosiłam moją „zielonogórskość” i głosiłam zachwyty nad miastem, które ot tak sobie wybrałiśmy do zamieszkania. (Był to jedyny większy ośrodek w pobliżu Żagania – miasta, z którego wywodzi się rodzina mojego męża. Dla Zielonej Góry bez większego żalu opuściłam Wrocław, nie tęsknię też za Poznaniem, w którym przyszłam na świat, nie żal mi urokliwego Krakowa – miasta mojego dzieciństwa i tylko łezka w oku kręci się czasem, gdy wspominam malutki Zgorzelec, miasto-tygiel, gdzie na wspólnym podwórku bawiły się dzieci osób repatriowanych ze Wschodu, dzieci małżeństw mieszanych – polsko-niemieckich, greckie, romskie, żydowskie... Ależ to był koktajl kultur, mentalności i obyczajów! No, ale to jest temat na inny artykuł).

Ciesz się, młodzi ludzie deklarują chęć pozostania w Zielonej Górze, gdy mówią o przywiązaniu do naszego regionu, nie mając cienia kompleksu prowincjusza! Tak trzymać, Zielona Góra nie musi być prowincjonalna ani nie zamierza umierać.

Zerkam na zegarek, u Emilki jest przytulnie, ale ja mam ochotę wdepnąć jeszcze do jednego z lokali w śródmieściu, gdzie często za kontuarem stoi Łukasz Bilski – student animacji na UZ, a więc także kategoria 20+. Łukasz pisze od ponad sześciu lat, powiedział mi kiedyś, że pisze, ponieważ pisanie jest dla niego sposobem osiągnięcia stanu wolności. Łukasza i mnie dzieli ponad trzydzieści lat, ale łączy zamiłowanie do... bajek. (Pożeram bajki od pół wieku, a na dodatek głęboko wierzę w to, że one sobie żyją cichcem wśród nas, a ci dorośli, którym oszczędzono czytania bajek

w dzieciństwie, nigdy nie osiągną pełni człowieczeństwa). Poznałam Łukasza w Żarach, podczas rozstrzygnięcia konkursu literackiego „O laur Dziewina”, gdzie zdobył wyróżnienie. Łukasz przesyła mi po imprezie inne swoje utwory, a ja czytam je z zaciekawieniem i zachęcam go do wysłania kolejnego tekstu w następnej edycji tego konkursu. I znów sukces – II nagroda w kategorii prozy (pierwszej nie przyznano). Gratuluję Łukaszowi i czuję coś z pogranicza radości i ulgi. Szczerze? Szczerze. To takie ludzkie, że bardziej cieszy nas sukces własny niż kolegi, ale ja każdy swój sukces zawsze przyjmuję z ogromną radością pomieszaną z pokorą, bo zdaję sobie sprawę z tego, że gdyby był inny skład komisji oceniającej prace, to być może nie ja, lecz ktoś inny fetowałby zwycięstwo... Ale jeśli ktoś taki jak kolejna moja młoda znajoma – Kasia Zychła z Sieniawy Żarskiej – co miesiąc zdobywa po kilka laurów w konkursach literackich, to kapelusze z głów! Kasia mieści się w mojej kategorii pojęcia osoby młodej – mogłabym zostać jej matką (choć nieco nieletnią). Kaśka jest dla mnie osobą niezwykłą nie tylko ze względu na to, iż funkcjonuje od lat jako „pożeraczka” nagród literackich, lecz także dlatego, że nasze relacje matczyno-córczane są kompletnie odwrócone – to ona we wszelkich dyskusjach jest mi „mamuśką”! Kasia wydała osiem książek, w tym dwa zbiorki poetyckie, pisze także książki dla dzieci i młodzieży, kolejny tomik poetycki jest przygotowywany do druku. To, co mnie, jako czytelnika, uderza w jej poezji, to ów brak powszechnej wśród młodych twórców „rozdrapy”; Kaśka pisze chętnie także „szczęśliwe” wiersze, które na dodatek nie są cklive. Jestem smakoszem jej poezji, polecam gorąco zarówno to, co już wydała, jak i to, co jeszcze napisze. Gdy przesyła mi próbki swoich kolejnych, szykowanych do druku wierszy, konsumuję je zawsze z wielkim apetytem.

Niezwykłą osobą, taką poetką wyjętą z innej, nierealnej rzeczywistości, jest Mirosława Szott, moja koleżanka ze Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Mirka studiuje pedagogikę i polonistykę na UZ, pisze pracę magisterską dotyczącą twórczości przedstawicielki trzech pokoleń

lubuskich poetek. Mirka jest tym typem dziewczyny, o której moja rusycystka powiedziała by z zachwytem: „Ot, poeeticzeskoje suszczestwo...”. Jeszcze nie zdecydowała się wydać swojego arkusza debiutanckiego, choć wszyscy zachęcamy ją do złożenia tomiku w serii „Poddasze Poetów”. (Jeśli kiedyś wydział ruchu drogowego przy UM Zielona Góra wpadnie na genialny pomysł, aby miejscowych poetów wyposażać w skrzydełka, będę postulować, aby właśnie Mirce przydzielono je w pierwszej kolejności).

No i jakże miałabym nie wspomnieć Justyny Jęzak, także mojej stowarzyszeniowej koleżanki! Justyna ma za sobą debiut literacki – arkusze poetycki w serii wzmiankowanego „Poddasza Poetów”, zdobyła także nagrodę w lokalnym Konkursie Jednego Wiersza w listopadzie 2010 r. Justyna studiuje na UZ.

I jeszcze jedna młoda, ciekawa osoba – Honorata Waszkowiak z podzielonogórskiej Świdnicy, z twórczością której dane było mi spotkać się dwa lata temu (dwakroć udzielałam jej głosu na moich świdnickich wieczorkach literackich). Dziś Honorata jest studentką UZ, a wiersze zaczęła pisać jeszcze w szkole podstawowej. Będąc już licealistką, zdobyła pierwsze miejsce w konkursie literackim ogłoszonym przez Katolickie LO w Zielonej Górze, jej wiersze były prezentowane i wyróżniane np. podczas Autunaliów. Czy ukończywszy studia, będzie dalej pielęgnować w sobie czynne zainteresowania poetyckie? A może rozwinie się jej zamiłowanie do twórczości teatralnej? (Powiedziała mi niedawno, że właśnie teatr ostatnio leży najgłębiej w sferze jej zainteresowań).

Skąd we mnie tyle radości, gdy spotykam na swej drodze młodych, zdolnych twórców? Przecież, jak szczerze wyznałam, jednak moje własne sukcesy wciąż smakują mi najbardziej... Hm, mam chyba w pełni ukształtowaną świadomość nieuchronności przemijania. Nie ma co się czarować – ja znajduję się już na schyłkowej stronie zbrocza i nie ma od tego odwrotu, nawet jeśli bym od dziś zaczęła przeskakiwać po trzy, a nie tylko po dwa stopnie schodów. Nie spieszo mi na

tę drugą stronę egzystencji, mam bogate plany związane z własną twórczością i doczesnym bytem, ale gdybym nie widziała w swoim najbliższym otoczeniu nikogo, kto kiedyś, zgodnie z prawami natury nas zastąpi, czułabym pustkę. To dobrze, że w dobie komputeryzacji wyrastają nowe pokolenia **poetów, czyli** – zgodnie z taką oto definicją – **ludzi, którzy potrafią dopatrzeć się niezwykłości w zwykłych rzeczach i zwykłych wydarzeniach**, których potrafi zachwyć jakiś szczegół „realu”, jak chociażby ów księżyc, wyświechtany aż do bólu przez poetów wszystkich epok... Warsztatu poetyckiego można się nauczyć, ale owej szczególnej wrażliwości, którą mieć należy, mieniać się poetą, nie sposób zdobyć na żadnym uniwersytecie. Za ćwierć wieku moje obie szefowe ze Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów udadzą się zapewne na zasłużone emerytury literackie, a wówczas, być może, zastąpią je dobiegające pięćdziesiątki – Justyna Jęzak i Mirka Szott, dziś mieszczące się w kategorii 20+...

Z twórczością ludzi młodych stykam się najczęściej na poetyckich forach internetowych, gdzie panuje bałagan porównywalny z tym, jaki onegdaj panował w pokoju mojej córki. Nieporadność warsztatowa, częste ucieczki w przekaz wtórny nie budzą we mnie irytacji, lecz rodzaj rozczulenia; zawsze mam nadzieję, że młody twórca kiedyś wyrośnie z tego, tak jak dziecko wyrasta z pampersów. (Ale samej sobie nie wybaczam użycia wyświechtanej metafory i chłostam siebie okrutnie za próbę posłużenia się takową; wiem, że na dorastanie zostało mi już niewiele czasu, ech...).

Zachęcam do lektury wybranych fragmentów twórczości moich młodych przyjaciół, których sylwetki postarałam się naszkicować absolutnie subiektywnie, na dodatek nie wchodząc w rolę krytyka literackiego, lecz zwykłego czytelnika, który ceni sobie „świeżyńki”.

6 grudnia 2010

